

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Krzyżowiec.

KRZYŻOWIEC.

Ponad Renu bystrą falą,
Gdzie się jodły wichrom żalą,
Na wierzchołku stromiej skały,
Stoi zamek okazały.

Zamek niegdyś głośny wiazawą,
Dumny panów swoich sławą,
Stoi w smutku chmurze szarej,
Bo umiera pan w nim stary.

U stóp łoża chłopię żwawe,
Na rycerską cheiwe sławę,
Łzy żałosne cicho toczy,
W smutne ojca patrząc oczy.

Do rodzica drży mu serce
I tam, kędy inowierce
Chrystusowy grób zabrali...
Więc się łzami chłopię żali.

Zewsząd idą tam rycerze,
Dzielni w boju, silni w wierze,

Na krzyżową idą wojnę,
Tylko chłopię niespokojne,
 Jak przykute u stóp łoża...
 „Ale, czyliż chwała Boża
 Nie jest większą w swęj świętości
 Od synowskiej powinności?”

Tak pomyśli chłopiec młody
I z innymi już w zawody
Pędzi, kędy trąba wzywa;
Lecz go ojca dłoń sędziwa
 Na tę drogę nie żegnała!
 Skrycie w nocy Strzałka biała,
 Dzielny konik, jak on żwawy,
 Poniósł chłopca szukać sławy.

I dopiero gdy za morza
Popłynęła armia Boża,
W jakąś dobrą snadź godzinę
Chłopak pojął swoją winę:
 Pojął, że nie Boża chwała
 Od stóp ojca go wołała,
 Ale tylko żądza sławy
 Pociągnęła go w bój krwawy.

Więc do starca kapelana
Poszedł chłopiec wyznać winę,
Że go próżność niepoznana
Opętała w złą godzinę.
 Starzec zbadał całą sprawę
 I tak rzecze po namyśle:
 — Rozważywszy rzeczy ściśle,
 Powinieneś wsiąść na nawę,

Do dom wracać tęg godzinę
I przeprosić za twe winy,
Jeśli jeszcze ojciec żyje.
Ale, nawy tu niczyje
 Na rozkazy twe nie stoją,
 I nie mogą władzą moją
 Rozkazywać żołnierzowi,
 Bo tu prawo wódz stanowi.

Jak się stało, tak być musi;
Lecz dla ulgi na sumieniu,
Przeciw złemu, co go kusi,
I ku serca uleczeniu,
 Wyznawając dawne winy,
 By mógł wrócić do rodziny,
 Otrzymawszy pozwolenie,
 Biegł, gdzie wiodło go sumienie.

Powracając myślał sobie:
„Jeśli ojciec jest już w grobie
To osiadę pustelnikiem
W wydrążeniu skały dzikiem”.
 Drgnął, gdy wstąpił do zamczyska:
 Żyje pan nasz, lecz śmierć blizka,
 Powiedziano mu u bramy;
 Do komnaty wszedł więc samój,

Kłękł pokornie u stóp łoża,
I chciał błagać przebaczenia;
Gdy z uśmiechem, jakby zorza,
Ojciec dotknął mu ramienia.
 I nad łożem, w półksiężycu,
 Gwiazdę, co mu za herb dana,
 Wskazał mu z weselem w licu,
 Potem wskazał kapelana...
Co pokutę zadał ostrą,
A dziś między jego siostrą
I płaczącą matką starą
Stał u łoża, mocny wiara;
 Pojął chłopiec w jednę chwilę,
 Że za jego żal prawdziwy,
 Bóg i ludzie przebaczyli,
 Kiedy ojciec żył sędziwy.
Zył i w Polsce potem znany
Ten ród Mondstern, Morsztin zwany,
A kto bywał zwan Morsztinem
Ten był pewno dobrym synem.

M...a.

JAN KOCHANOWSKI.

(Dalszy ciąg).

Jan Kochanowski powrócił do kraju w r. 1550 otrzymawszy wiadomość o śmierci matki. Z krótkiej wzmianki w życiorysie poety, pisanym przez Starowolskiego, wiemy, że była to matrona wielkiej zacności i niepospolitego rozumu, ona to głównie kierowała wychowaniem syna, a najstarszy brat Kasper po śmierci ojca wspólnie z nią opiekował się młodszym rodzeństwem. W czasach późniejszych na pogrzebie jego młodszy o lat kilka Jan wypowiedział między innemi te słowa: „Straciłszy nie tak brata, jako właściwie ojca”.

Poeta nasz musiał mieć jakieś kłopoty materialne po powrocie do kraju, jakieś sprawy niemiłe, wspominał bowiem w listach, pisanych w tym czasie, że go chciał ktoś wyzuć z ojcowizny, a trudno odgadnąć kto. Zaczęły może nieporozumienia z dalszą rodziną. Wiadomo tylko, że w r. 1559 odbył się w urzędzie grodu radomskiego pomiędzy braćmi Kochanowskimi dział spuszczony ojcowiskiej, a Janowi dostała się połowa Czarnolasu; druga była w rękach stryja jego Filipa.

Nie osiedlił się jednak poeta na wsi, ksiądz biskup Padniewski, podkanclerzy koronny, mąż miłujący naukę i poezję, wezwał go do Krakowa i wyrobił mu miejsce sekretarza na dworze króla Zygmunta Augusta. Wkrótce urząd podkanclerzego zajął po białymostkim ksiądz Mikołaj szkowski, a Jan Kochanowski pozostał sekretarzem. Na

wiał poetę, aby także księdzem został, naprzód już wyrobił mu aż dwa probostwa, z których Kochanowski dochody pobierał. W owych czasach było to we zwyczaju, nieraz też ludzie niewyświeceni jeszcze na kapłanów nosili tytuły proboszczów, utrzymując na swoich parafiach wikaryuszów, którzy za nich obowiązki spełniali.

W czasie pobytu na dworze, Jan Kochanowski przedsięwziął był napisanie wielkiego poematu bohaterskiego o Władysławie Warneńczyku, ale go nigdy nie dokończył, natomiast napisał dwa utwory satyryczne, w których żartami niby bardzo mądre przestrogi dawał rodakom, a nawet i królowi. Pierwszy z tych utworów, pod tytułem „Satyr albo dziki mąż”, był dedykowany Zygmuntowi Augustowi w następujących słowach:

Panie mój! (to największy *) tytuł u swobodnych)
Nie mogę mieć natenczas darów tobie godnych;
Ale jako nie zawżdy wołem złotorogim,
Czasem Boga błagamy kadzidłem ubogim:

Tym przykładem racz i ty moje tę kwapioną **)
Pracę za wdzięczne przyjąć, a swą przyrodzoną
Ludzkość okazać przeciw tej leśnej potworze,
Która się tu śmie stawić na twym pańskim dworze.

Płocha twarz, (baczę to sam) i śmieszna postawa;
Więc nie wiem, jaka przytém będzie i rozprawa.
Nie podobają mu się nasze obyczaje,
Gani rząd i postęпки, jedno iż nie łaje;

Przypomina wiek dawny, a jeśli nie plecie,
Starszego jako żywo nie było na świecie;
Ale już mnie sam rogiem po grzbiecie zajmuje,
Teszno ***) go, że swęj rzeczy dawno nie sprawuje.

Poeeci dawniejsi, nietylko w Polsce, ale w całej Europie, naśladowali starożytne arcydzieła poezyi greckiej i łacińskiej, a ztąd wszędzie w ich utworach spotykają się wzmianki o bóstwach mitologicznych, o muzach, Apollinie; gdyby kto był chciał uczucia wznioślejsze wyrażać prostemi słowami, powiedzianoby, że używa języka gminnego. Kochanowski tak samo, jak inni, ulegał wyobrażeniom swojego czasu, lecz jest to właśnie ogromną jego zasługą, że w utworach swoich umiał wzniosłym myśłom nadawać cechy czysto narodowe. Wspominał on także Muzy, lecz jego Muza, jak powiedział Rej, była boginią słowiańską, a każda jego poezya, poezya polską, nietylko w słowach, ale i w duchu. Satyr jest także, jak wiecie, bóstwem leśnem pogańskiej starożytności, które wyobrażano sobie z rogami i nogami kozła. Tak też i Kochanowski opisuje swojego dzikiego męża.

Tak jako mnie widzicie, choć mam na łbie rogi
I twarz nieprawie *) cudną, i kosmate nogi,
Przedsiem **) uszedł za Boga w owe dawne czasy.
A to mój dom był zawżdy, gdzie najgęstsze lasy.
Aleście je tak długo tu w Polsce kopali,
Żeście z nich ubogiego Satyra wygnali.
Gdzie pójrzę, wszędy rąbią: abo buk do huty,
Abo sośnią na smołę, abo dąb na szkuty;
I muszę ja podobno prze ludzie łakome,
Opuściwszy jaskinie i góry świadome,
Szukać sobie na starość inszego mieszkania,
Gdzieby w ludziach nie było takiego starania
O te biedne pieniądze; wszak i drew po chwili
Nie najdą, żeby sobie izbę upalili.

Takto przed trzystu laty Kochanowski przez usta swego Satyra zwracał uwagę na to, jak nieroztropne jest zbytne wycinanie lasów. Dalej znów Satyr tak mówi o zbytku i marnotrawstwie:

Zbytek, sąsiedzi! zbytek, który jako morze
Wszystko pożrze, byś mu tkał nie wiem jako sporze.
Mało mu na jeden raz wszystkie roczne snopy,
Zje on, kiedy zasiędzie, grunt zaraz i z chłopy,
Naostatek i pana, taki to gość w domu:
Aby miał zginąć, nie chce ustąpić nikomu.
Da kto pięćdziesiąt potraw, da on tyle troje;
Ty w rysiu, on w sobolu; ty na czapce złoto,
On ma i na trzewiku, chocia czasem błoto.

Chociaż sam kształcił się zagranicą, Kochanowski w Satyrze powiada:

Tego baczyć nie mogę, dla której przyczyny
Wolicie do Włoch abo do Niemiec ślać syny,
Mając swe szkoły doma?

Piękny jest bardzo ustęp następujący:

Nie rozumięj, żeby to darmo uczyniono,
Iż wszelaki zwierz inszy pochyłym stworzono,
A człowiek twarz wyniosłą niesie przed wszystkimi,
Patrzac w ozdobne nieba oczyma jasnymi;
Chciał nam Bóg tęp swoją myśl opowiedzieć prawie,
Iż bydlę a człowieka stworzył k'różnej sprawie:
Bydlę więcęj nie szuka, jedno aby tyło,
Tego samego patrząc, co jest ciału miło —
Ale człeku, którego dusza poszła z nieba,
O tęp czuć, o tęp myśleć ustawicznie trzeba,
Jakoby się mógł wrócić na miejsca ojczyste,
Gdzie spólnie przebywają duchy wiekuiste.

Bo tak wiedz, iż w człowieku są mocarki dziwne,
Nie tylko sobie różne, ale i przeciwne:
Jest bystra popędliwość, jest żądza niesyta,
Bojaźń mdła, żałość smutna, radość niepokryta—

*) Największy.

**) Pośpieszną.

***) Tęskno.

*) niezupełnie.

**) przeciwnie.

Nad któremi jest rozum, jako hetman, który Mastrzedz, aby z nich żadna nie mogła wziąć góry. Temu ty władzę porucz i daj w moc sam siebie, Niech wie o każdej sprawie, która się tknie ciebie; Bądź jeśli przyjdzie owym porucznikom rządzić, Bez tego być nie może, byś nie miał zablądzić.

Drugi poemat nosi tytuł „Zgoda”. I ten utwór tak samo jak „Satyr” zawiera dużo mądrych rad, wykazuje zgubne skutki niezgody, a musiała ta wada być z dawien dawna zakorzenioną w narodzie naszym, gdyż Kochanowski uważa ją za przyczynę wszystkich nieszczęść. Poemat ten zaczyna się temi słowy:

Ja zgoda, która sporne planety sprawuję,
Ziemię, wodę, wiatr, ogień, w żywiołach miarkuję;
Stróż rzeczypospolitych, zdrowie i obrona
Miast wszystkich, przysłałam tu, chocia nie proszona,
Do was, o potomkowie Lecha słowieńskiego!

A dalej powiada, że różne niebezpieczeństwa na kraj sprowadza nie co innego:

Ale tylko niezgoda sławna, Polsko! twoja.
Niech się miasta brzozy trojakiemi wały,
Trojakiemi przekopy i mocnemi działy:
Kiedy przyjdzie niezgoda, uniżą się mury,
I wnidzie nieprzyjaciół, nie szukając dziury.

Na zakończenie powiada poeta:

A przedsię mądrzy ludzie łatwiej w to ugodzą,
Ze przywiodą w swą miarę, co się wykroczyło;
Ale trzeba, żeby tam uporu nie było.
Ten zgoda wykorzeńcie, a wszystkie swe sprawy
Do pożytku spólnego obróćcie naprawy.
To czyńcie, a nie będziem, wszyscy żałowali:
I ja, że radzę, i wy, żeście mię słuchali.

Jan Kochanowski, przebywając na dworze, a żyjąc w serdecznych stosunkach przyjaźni z takim znakomitym mężem stanu, jak ksiądz Myszkowski, gorąco się zajmować musiał sprawami kraju, najlepszym tego dowodem są te dwa poematy, Satyr i Zgoda. Wyrażał w nich poeta zdanie, nie tylko własne, lecz i przekonania księdza Myszkowskiego, i wszystkich rozumnych obywateli kraju.

Z tego samego czasu pochodzi piękny wiersz „Pamiętka” opiewający śmierć Jana z Tęczyna, który będąc zaręczonym z królewną szwedzką, został na morzu pochwycony w niewolę przez Duńczyków i zmarł w więzieniu. Drugi podobny pisany był na śmierć wielkiego Jana Tarnowskiego, ofiarowany synowi jego, Janowi Krzysztofowi. Zdaje się, że z domem Tarnowskich łączyły Kochanowskiego bardzo przyjazne stosunki, gdyż temu samemu Janowi Krzysztofowi przypisał on

także inny swój utwór, pod tytułem „Szachy”, nawiązujący do włoskiego. Jest to opis gry w szachy połączony z baśnią zręcznie bardzo obmyśloną.

Oprócz tych większych poematów, pisał Kochanowski mnóstwo drobnych wierszy, a te później dopiero były wydrukowane pod tytułem Fraszek. Niepodobna odgadnąć, które z nich były pisane w latach jego młodzieńczych, a które w późniejszym czasie. Są pomiędzy nimi piękne i wdzięczne, ustęp, inne zaś uważać można za wybryki dobrego humoru.

Kochanowski musiał już wówczas słynąć u współczesnych i z poetycznych utworów, i z zaćności charakteru, bo oto, co o nim pisał w r. 1561 Mikołaj Rej z Nagłowic, ten sam, co to publicznie przyznał mu wyższość nad sobą, usłyszawszy piękny hymn o dobrodziejstwach Boga. Przypatrzyć się, co umie pocziwe ćwiczenie, Gdy szlachetne przypadnie k'niemu przyrodzenie; Co rozeznasz z przypadków i z postępów jego, Tego Kochanowskiego, szlachcica polskiego. Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje, Co jego wiele pisma jasnie okazuje. Mógłci umieć Tybullus *) piórkiem przepierować ** Lecz nie wiem, umiali tak cnotą zafarbować.

(D. c. n.).

Awantura z jagodami.

KOMEDYJKA W DWÓCH ODSŁONACH.

przez Kazimierę Potulicką

OSOBY.

IZIA
ELŻUNIA. } rodzeństwo.
JANEK.
KASIA, wiejska dziewczynka.
MICHAŁEK, wiejski chłopak.

ODSŁONA I-a.

(Scena przedstawia las i zarośla.)

Scena I.

KASIA (sama).

KASIA (z dzbanuszkami w ręku.)

O lo Boga, lo Boga! a to się schodziłam, a nog nie cuję, a jagódek najść nie mogę, (zagląda w dzbanuszek). Mój Boże, trochę więcej pół dzbanuska, matusia powiedzą, że spała w lesie, (ziewa i przeciąga się). Jakoś ci mi się i spać zachciało, a bo się też ogniście zmęczyłam, (siada pod drzewem). Ksyne se odpocnę, to potem raźniej będzie.

*) Poeta łaciński. **) Trele wywodzić.

kać, (przeciera sobie oczy). Nie wiem, co mi się
te ocy psmykają, pewnikiem piasku mi się
sypało, (trzeźwiąc się). Oj, żeby nie usnąć ca-
m, e, ale mi się jakoś spać już nie chce, (pochy-
się, opiera głowę na rękę i przymyka oczy). Nie...
nie... spać nie... będę... dycht... mi... się już... ode-
aciało... chciało... chciało... (zasypia).

Scena II.

KASIA (śpiąca). MICHAŁEK.

MICHAŁEK (wychodzi z głębi lasu, trzymając dzbaneczek
na głowie i śpiewa:)

Oj ta dana, oj ta dana,
Jagódecko pójdź do dzbana,
Chowanie się nie pomoże,
Pójdź do dzbanka, pójdź nieboże.
W lato aż się las czerwieni,
Próżno was sukać w jesieni,
A już w zimę wypats ocy,
Ani jednej nikt nie zocy.

(schyla się).

Oj ta dana, oj ta dana,
Jagódecko chodź do dzbana,
(sposstrzega Kasię),

A to co za dziewczucha? (przygląda się). Dyć to
Kasia Kozimianka; ho, ho, śpi sobie, dobrze zbira
jagody. Ja mówię, co te dziewczuchy zawdy do ni-
go, ino jeść, ino spać i tyla. Cy tyz dużo uzbie-
ła jagódek, (zagląda do dzbanuszką Kasi, który
oi przy niej.) Ha no, jest więcej jak pół dzban
a, więcej ma niż ja, musiała raniiej wyjść, (zaczy-
jeść jagody z dzbaneczką Kasi). Moze miałyby
więcej, ale pewnikiem ciągle jadła; oj te dziewu-
chy, to takie łakome, co strach, (zajada ciągle). Ze-
y tak na mnie, to choćbym nazbierał i dziesięć
dzbanków, tobym jednak nie zjadł ani jednej. Ale
te dziewczuchy, (sypie pełną garść w usta) aj, te dzie-
uchy, to takie łakome. Ale co prawda to pra-
da, że te jagódki dobrze smakują. Zebym to ja
iał już pełen dzbanek, tobym se posed do cha-
upy. (zamyśla się). A żeby tak pomieszać te jago-
y razem, to byłby pełniutki dzbanek. Hm, choć-
ym wsypał swoje Kasi? hm... hm... e lepiej be-
zie Kasi jagody wsypać sobie; a po co dziewczucha
ni, zamiast chodzić i zbierać, ale to wej tylko aby
żyć i spać. (W tej chwili wychodzi Janek, staje za
zewem, nie postrzeżony przez Michałkę i przysłuchu-
się). Tak będzie najłepi, te jagódki dosypie do
woich, bede miał pełny dzbanek i pójdę se do cha-
upy, (przesypuje jagody Kasi w swój dzbanuszek).
no, to i dobrze. Tera psykryje liściami i basta,
rzykrywa listkami paproci). A to co wej za pta-
k śpiwa? bodaj kos—oj żeby go to złapać, żeby
apać. (patrzy w górę). Juści kos, tsa spróbować,

moze go i złapie. (stawia swój dzbanuszek na boku,
daleko od Kasi), spróbuje, moze mi się i uda, (śledzi
go ciągle po drzewach i idzie w głąb sceny, nie widząc
Janka, zbacza wreszcie na lewo i wychodzi ze sceny.)

Scena III.

JANEK (sam).

Poczekaj, rabuśniku cudzej własności, będziesz
ty miał jagódkil! Dobrze, że sobie poszedł łapać
kosa, ja mu też figla urządzę. Co to za niedobry
chłopiec, żeby tej biednej dziewczynie zabrać jej
pracę! No, no, urządzimy wet za wet. (bierze dzba-
nuszek Kasi i przesypuje w niego jagody z dzbanka
Michałka). A no teraz będzie dobrze. Ale nie
dość na tém, trzeba twój dzbanuszek napelnąć.
(zbiera drobne kamyczki i kładzie w dzbanek, sypie
trochę ziemi, nakłada gałązek i to wszystko przykry-
wa liśćmi i stawia na dawnym miejscu). Masz, niepo-
czciwy chłopcze, jagódki, chciałbym widzieć twoję
minę, gdy zajrzysz do dzbanka. A teraz ty, dzba-
nuszk, na swoje miejsce, (stawia go przy Kasi) a ty,
Janku, w nogi, bo słyszę gwizdanie, chłopiec pe-
wnie wraca z wyprawy na p... którego jeżeli
złapał, jestem pewny, że przyniesie do dworu, ni-
by to w podarunku. Oj filut to z tego Michałka.
(słychać gwizdanie, Janek ogląda się i śpiesznie ucie-
ka).

Scena IV.

MICHAŁEK. KASIA (śpiąca).

MICHAŁEK.

A to ci śpi miła Kasia! co tyz to za leniuch
dziewucha. A no, niech ta se śpi. Oj, ale mój
kos uleciał, co tyz to za zmyślny ptak, to dziwowi-
sko, ale ja go taki złapie, bo młody. Tseba tera
zabrać swoje jagody i pośpieszyć do chałupy, (zamy-
śla się). Wiem co zrobię, zaniosę ten dzbanuszek
do dworu panienkom w podarunku; ho, hol panien-
ki dobrze nagrodzą i jeszcze pocęstują ucciwie. Pude
do chałupy, troche się psyoblekę, a dzbanek osta-
wie kole płota w ksaku, bo jakby Jagusia obacy-
ła, to by się darła, coby i dać. Obudzę Kasię, bo
juz i zadość tego spania, ino aby nie zobacyła, co
to ja, bo by zgadła, co ja te jagody zabrał, (odecho-
dzi i gdy już oddalił się, że go nie widać, woła:) Kasiu
Kasiu!

KASIA (zrywa się i przeciera oczy).

Idę matulu, idę, lecę co tchu, ino... ino... (otwie-
ra oczy i ogląda się). A to co się znaczy? dycht
mi się zdało, że ja w chałupie, a to wej las. Oj, oj,
pano sobie i usnęłam, ale bo tyz tak rano dziś
wstałam. A moze to już blisko i pośnie? o mój
Boze! tza lecieć do domu, żeby tych jagódek tak ma-
ło uzbierał! Chciałbym, chciałem, coby zanieść a-
ni... tyz to na...

bre, jak wej chorowałam bez dwie niedziele, to psychodziły do mnie co dzień, pynosily lekarstwo różne dobre zeczy do jedzenia. Niech im pan Jezus zapłaci i Matka Najświętsza (poprawia chusteczkę na głowie i bierze dzbanek.) A to co? lo Boga! taki dzbanek ciężki, az się boje zajzyć do niego, moze tam wlażła jaka gadzina? (stawia go na ziemi.) Moze żmija? ale tak wej psykryty liściami, toć ja tego nie robiłam, (podnosi gałązkę i puka w dzbanek). A sio! no wylaż — jakoś cicho, (puka mocniej). Sio! sio! e, tam chyba nic zywego nie siedzi, boby juz wyleciało, (zagląda ostrożnie w dzbanek). Rety! lo Boga, a dyć to jagody! a juz tyz chyba święci z nieba poratowali mię. Mój Boze! pełniusieniek dzbanusek, bede miała co zanieść panienkom i matka nie bedą się gniwać. (składa ręce i podnosi je w górę). O dzięki Panie, a toz to jestem uradowana, jakby mi kto świat darował. Lecę co tohu do chałupy, a potém do dworu, (bierze dzbanuszek i wybiega szybko).

Kortyna zapada.

ODSŁONA II-a.

Scena I.

(Scena przedstawia pokój szkolny, Elżunia siedzi przy stoliku i pisze, Izia stoi na środku pokoju z kajetem w ręku i deklamuje głośno.

IZIA (deklamując.)

W drucianém więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika,
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.
Och! nie masz tu cienia, w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłonił!
Och! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! nie masz...

ELŻUNIA.

Bój się Boga, Iziu, daj już pokój temu ciąglemu och! i och! bo z wypracowaniem nie mogę dojść do końca.

IZIA.

Ach! to taki prześliczny ten wierszyk, ja bardzo lubię poezye Syrokomli, czasem takie jakies rzewne, że aż się płakać chce.

ELŻUNIA.

Winszuje gustu, ale nie zazdrosczę, nie lubię nic smutnego, już ja zawsze wolę śmiać się, niżeli płakać.

IZIA.

Toż i ja beksą nie jestem, ale... ale...

ELŻUNIA.

Ale lubisz się rozrzewnać i... zulać, czego ja znosić nie mogę. Mni

tymcza-

sem możebyś mi pomogła trochę w tém wypracowaniu, to właśnie dla ciebie, będziesz mogła bujać pod same obłoki.

IZIA.

Jakkolwiek lubię ci pomódz we wszystkiém, ale w wypracowaniach p. Klara zabroniła mi stanowczo pomagać ci, choćby najmniej.

ELŻUNIA.

Nie, to nie. Chwała Bogu, że w tym tygodniu kończymy lekcye i zaczynają się kochane wakacye. Janek już od tygodnia przyjechał do domu i używa swobody.

IZIA.

Ale gdzie on to poszedł? z pewnością niema go przy domu, bo jużby tu był u nas ze trzy razy.

ELŻUNIA.

Buja sobie, jak ptaszek.

IZIA (podchodząc do okna).

„O wilku mowa, a wilk tuż” widzę go, idzie od lasu, a jak się śpieszy!

ELŻUNIA.

Z pewnością powie nam co wesołego. Założyłabym się, że tam komu figla spłatał.

IZIA.

O! on do tego jedyny, chociaż figle jego nie są nigdy złośliwe, bo ma poczciwe serce.

ELŻUNIA.

Ach, żeby już jak najprędzej przyszedł. Przeczuję, że się śmiać będę, już mię nawet lewe oko drga trochę, co jak wiem jest oznaką blizkiego śmiechu.

Scena II.

IZIA, ELŻUNIA, JANEK.

JANEK (wbiegając prędko).

Jak się macie, kochane siostrzyczki, muszę wam opowiedzieć zabawną awanturę.

ELŻUNIA.

A co? nie mówiłam, że będzie coś wesołego. Mów prędko.

JANEK.

Ty, Iziu, nie jesteś tak ciekawą, widzę, jak Elżunia, o nic nie pytasz.

IZIA.

Wiem, że i tak powiesz, no, ale mów.

JANEK.

Wyobraźcie więc sobie, rano wstawszy...

ELŻUNIA (przerywając).

Ależ nie zaczynaj tak z daleka, i tak wiemy, żeś wstał, skoro stoisz przed nami. Mów odrazu o téj awanturze.

JANEK.

Ależ, moja Elżunio, we wszystkiém porządek być winien. Więc... na czemże to stanąłem?..

ELŻUNIA (przerywając).

Żeś poszedł do lasu i tam zrobiłeś jakąś awanturę.

JANEK.

Przepraszam cię, jeżeli będziesz ciągle przerywać, to ja do lasu nie dojdę i cała awantura w teb weźmie.

IZIA (siada przy stoliku i bierze robótkę).

Ach, jacy wy oboje nudni. No, więc stanęłeś na tém: „rano wstawszy”.

JANEK.

Paradnie; a więc rano wstawszy, a była już pewno ósma godzina, usłyszałem jakieś brzdąkanie na fortepianie...

ELŻUNIA (prędko).

Przepraszam cię, to nie było żadne brzdąkanie, bo to ja grałam.

JANEK.

Wiem tylko, że muzyka ta zdecydowała moje przechadzkę do lasu, i z tego punktu rzeczy jestem ci wdzięczny.

IZIA.

Nareszcie przyszedłeś do lasu.

JANEK.

Jak cię kocham, nie przyszłoby mi to do głowy, gdyby właśnie nie owa muzyka. Idę sobie i pogwizduję, co zawsze znośniejsze, niż bębnienie na fortepianie.

ELŻUNIA.

—Rzecz gustu.

IZIA.

Nie przerywaj, niechże raz skończy.

JANEK.

Jak więc mówiłem, pogwizduję sobie, bo to kraca samotną przechadzkę, naraz... patrzę... spostrzegam...

ELŻUNIA (przerywając).

Wilka!

JANEK.

Ba! żeby to wilka, ale...

ELŻUNIA (załamując ręce).

Rozbójników!

IZIA.

A dajże pokój, opowiadanie to, jak widzę, będzie się ciągnęło do wieczora.

JANEK.

A więc spostrzegam... Michałka.

ELŻUNIA (wzruszając ramionami).

Bodaj cię z twoją awanturą; a ja myślałam, że to doprawdy coś ciekawego.

JANEK.

Słuchaj, teraz będzie ciekawe. Spostrzegam więc Michałka, który rozprawia do siebie, stojąc chwilko za drzewem i widzę, że on z dzbanuszką grając pod drzewem Kasi—no wiesz, Kozimianki,

przesypuje jagody do swego dzbanka, i rozprawia sam do siebie, że to będzie bardzo dobrze, i że mając pełen dzbanek, pójdzie już do chałupy.

ELŻUNIA.

Jak mogłeś pozwolić na takie ograbienie biednej Kasi!

JANEK.

Proszę słuchać. Naraz na drzewie zaczyna kos pogwizdywać, mój Michałek stawia dzbanek i dalejże w pogoń za kosem, chcąc go złapać.

IZIA.

Niegodziwy chłopak!

JANEK.

Jak więc zaczął śledzić kosa, tak poparadował sobie w las; wtedy ja przedziutko przesypałem na powrót jagody w dzbanuszek Kasi, a jemu nakładłem trochę kamyków, gałązek, piasku, przykryłem znów liśmi, i skończywszy tę zamię, przybiegłem o ile mogłem najspieszniej pochwalić się (z ukłonem) pannom siostrom. A co, czy nie awantura?

ELŻUNIA.

Wybornie ci się udało, dobrze tak chciwemu chłopcu, chciałabym widzieć jego minę, gdy się dowie, jakie jagody ma w dzbanku.

IZIA.

Jestem pewna, że Kasia przyniesie swoje jagody dla nas, ona tak nam wdzięczna, żeśmy ją w chorobie odwiedzały.

JANEK.

I pochwali się, że je uzbierała, (przedrzeźniając) „dla kochanych panienek”.

IZIA.

A może też powie prawdę, to bardzo dobra dziewczynka.

ELŻUNIA.

Ach! ja bym chciała, żeby i Michałek przyniósł nam swój dzbanuszek, mielibyśmy bardzo zabawne widowisko.

IZIA.

To być może, bo Michałek, o ile uważałam, jest trochę chciwy i łakomy, a wie, że oprócz zapłaty dostanie jeszcze chleba z masłem i sera, zatem przyniesie nam swój zbiór niezawodnie.

ELŻUNIA (chodząc prędko po pokoju).

Drzę z niecierpliwości i niepokoju, żeby aby przyszli, żeby Michałka nie zdjęła ochota zajrzeć do swego dzbanuszka.

JANEK.

Cicho, słyszę jakiś szmer za drzwiami, pewnie się które z nich prowadzi z jagodami, a... otóż jest.

(wchodzi Kasia).

(d. n.).

DUCH ZAMCZYSKA.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DAWNIEJSZYCH.

przez M. . a.

(dalszy ciąg).

Wistocie, w pół ciemnej głębi drugiej sali, a raczej galeryi, do której nie wiadomo kiedy drzwi się rozwarły, stała wysoka postać w czerni, z głową tylko i ramionami w białe owitemi rąbki, tak właśnie, jak ukazywał się niewieści duch zamczyńska, i jak zwykle starsze niewiasty i panny zakonne chodziły... Po pierwszej chwili wzruszenia, całe liczne grono świadków nadziemskiego zjawiska skamieniało, jakby w milczenie i nieruchomość zaklęte, pod grozą nieokreśloną. Pierwszym, kto zerwał zakłęcie, był chorążyc; chwycił on od lewego boku szabelkę swoją, w której rękojeść w kształcie krzyża wprawiony był starożytny rodzinny klejnot, krzyżyk z turkusów, i trzymając szablę tę za ostrze, krzyżem tym w górę, postąpił z nim przed sobą prosto naprzeciw widziadła... stary podskarbi ruszał za nim właśnie... Wtem panna też sama, która pierwsza ujrzała ducha i krzykiem zwróciła na niego uwagę, rozśmiała się smutno jakoś z przymusem, i żywym krokiem wyprzedzając chorążyc, postąpiła ku otwartym drzwiom galeryi, mówiąc do nieruchomego w jęj głębi zjawiska:

— Co to, panno Dezyderyo? czy wieczerza gotowa? a gdzie matka moja?

— Pani wojska zaraz przyjdzie — odrzekło mniemane widziadło — właśnie na jęj przybycie czekam z zaproszeniem państwa do wieczerzy.

Długi, serdeczny wybuch śmiechu nastąpił ogólnie w wielkiej sali po tej odpowiedzi widziadła, którem była znana wszystkim, ulubiona panna dworska pani wojskiej. Tymczasem dworscy wnosili więcej światła do jadalnej sali, gdzie panna ta stała przy długim, przygotowanym do wieczerzy stole, który dotąd ginął w półcieniach. Ubranie jęj odpowiadało temu, w jakim opisywano ducha zamczyńska, a nastrojenie umysłów dopełniło złudzenia. Duch ten albowiem zajmował mocno wyobraźnię młodej gromadki, do jego odwiecznego mieszkania teraz schronionęj. Rozmawiano o nim i lękano go się, ale to nieprzeszkadzało teraz pokładać się od śmiechu z własnego minionego strachu.

Wśród tego śmiechu otworzyły się drzwi wielkiej sali, i weszła pani wojska, ze starym miecznikiem, który ostatnią tę jeszcze wieczerzę przybywał zjeść z przyjaciółmi i najmłodszą córką, aby tegoż jeszcze wieczora nadażyć za synami do mie-

sca, w którym zbierało się rycerstwo przeciw ciągnącym Tatarom. Za tymi dwojgiem szedł pan wojski z księdzem kapelanem zamkowym, i kilku jeszcze innemi osobami. Wchodząc na ów śmiech ogólny, pani wojska spojrzała po młodem, tak wesolém w tej chwili towarzystwie, i rzekła uprzejmie:

— Jakże serdecznie rada jestem z takiego ochoczego ducha naszych gości w pierwszym dniu ich tutejszej gościny; to dobra przepowiednia na przyszłość. Proszę do wieczerzy, a potem będę prosiła, aby i my też dowiedzieli się przyczyny tej uciechy.

Na te słowa śmiech nagle ustał, i zrobiło się jakby makiem posiał; każdy zakłopotany jakoś mocno pośpieszał do stołu w milczeniu. Jakże bo miano opowiadać państwu wojskim o przyczynie śmiechu, w której głównie działającą była ich córka, gdy każdy wiedział, że państwo wojscy mocno nie lubią mówić o duchu zamczyńska. Utrzymywali oni oboje zgodnie, że duch ludzki, przestąpiwszy raz doczesności granice, ma zapewne co innego w wieczności do czynienia, niż powracanie na dawną siedzibę. A nawet, gdyby coś takiego z niezbadanych wyroków Boskich miejsce mieć miało, to z pewnością stałoby się, nie dla straszenia ludzi, lecz dla przyczyn niezmiernie ważnych, a przeto nie byłoby czego się wtedy przestraszać. Przy takim wiadomém wszystkim przekonaniu rodziców, dziwną wistocie wydawała się zabobonna tchórzliwość córki, która nie po raz pierwszy już z nią się wydała. Opowiadać co zaszło, było to więc niejako córkę tę przed rodzicami oskarżać. Dla tego wszyscy zamilkli, i potem po pierwszych daniach usłyszeli z prawdziwą trwogą pytanie pani wojskiej, odnoszące się do owego śmiechu.

Niespodzianie z kłopotu tego wyprowadziła wszystkich sama główna sprawczyni, córka wojskich, opowiadając rzecz całą treściwie, lecz prosto i dokładnie. Rodzice patrzyli na nią ze smutnem zdziwieniem. I było się czemu dziwić, bo panna wojszczanka odznaczała się pod każdym innym względem takim rozsądkiem, że niepodobna było pojąć, z kąd się w niej wziął strach dziwaczny owego podaniowego widziadła, który nie od dzisiaj martwił rodziców. Bogna, córka państwa wojskich, była to panna już przeszło dwudziestoletnia, zdrowa, wysmukła, o pięknych, jasnych warkoczach. Nie poszła dotąd za mąż, bo nie było czasu o tém myśleć. Nie była nawet zaręczoną. Ojciec, dumny jęj rozsądkiem, przeciw przyjętemu zwyczajowi nie chciał rozporządzać jęj ręką bez jęj wiedzy, lecz gdy przybyli swaty, oznajmiał jęj o tém a wtedy córka odpowiadała:

— Panie ojcze uczynicie jak się wam podobnie, tylko niech się ten tatarski wichur choć trochę przódki uspokoi!

— Ale ten wichur trwa już dużo lat — odpowiadano Bognie — Bóg go wie, jak długo jeszcze trwać będzie, czyliż przeto mają ludzie wcale się nie żenić i za mąż nie wychodzić?

— No, to dobrze — odpowiadała dziewczyna — tuż pójdę za mąż, ale niech choć ta zawiejka tegoroczna przejdzie.

Zawiejka tatarska przechodziła, a tuż po niej nadchodziła druga, i ze swatami u państwa woj-

stych wypadkach czyniły, przywdziała wdowie szaty i wkrótce potem umarła; zaraz w rok później w utarczce pogranicznej z tatarstwem zginął znowu młody brat Bogny. Wszystkie te wypadki uderzyły mocno wyobraźnię dziewczynki, rozbudzając się właśnie dopiero, i pierwsze te a silne wrażenia pozostały w niej wyrte nazawsze. Wspomnienia przygotowań weselnych, nagle strasliwą wieścią przerwanych, potem przerażająca wiadomość, i wdowie szaty, smutne życie krótkie ukochanej siostry, snuły się zawsze w umyśle Bogny i odstraszały ją, mimo jej własnej wiedzy, od roz-



Saska Szwajcarya (str. 29).

skich powtarzała się też sama sprawa. Bogna podobno sama dobrze nie wiedziała, o co jej właśnie szło przy takim odwołaniu, ale rodzice i inni ludzie znajomi domyślali się prawdziwej tego przyczyny. Przypominano sobie, że w chwili, gdy Bogna dopiero wyrastała z dziecięctwa na dziewczętko, przypadło jedno z najokropniejszych nieszczęść tatarskich, w którym zginął narzeczony jej starszej siostry, poszedłszy walczyć prawie od razu, bo na parę godzin przed ślubem. Bogny, jak zwykle panny w podobnych, o-

poczęcia dla siebie tych weselnych przygotowań, tak okropnie wówczas skończonych. A każda wieść o najściu tatarskim stawiała jej przed oczy brata...

Oczywiście nie wszystkie dziewczęta, znajdujące się w takowych, dość pospolitych okolicznościach, postępowały podobnie, nie wszystkie brały wspomnienia tak bardzo do serca. Ale cóż Bogna była temu winna, że miała tak wrażliwą duszę, i że siostrę i brata kochała tak gorąco, i nie umiała zapomnieć... Mimo tej niepospolitości swój

przecież, była Bogna zawsze zdrową, pracowitą, i spokojną a rozsądną, jak mało dziewcząt.

Dopiero od czasu zamieszkania w Kryłowskim zamku podzialała znów na wrażliwą wyobraźnię dziewczyny stara o duchu zamczyska opowieść. A wojscy musieli mieszkać w tym zamku, bo sąsiedzi im właśnie zdali swą rodzicielską władzę, i obowiązyli ich do czuwania nad liczną dzieci gromadką, w zamku tym schronioną. Takich i tym podobnych obywatelskich obowiązków nie mogli odmawiać starcy, gdy młodszy mężowie szli walczyć, a niewiasty tu i owdzie zostawały po dworach, bo nie wszyscy znów domostwa swoje porzucać mogli.

Liczne młode towarzystwo, wieczerzające w zamku Kryłowskim, składało się też tylko z dziatwy szlachty sąsiedzkiej, żyjącej zawsze mniej więcej wspólnym sąsiedzkim życiem, zaś dolne, równie obszerne izby zamczyska, przygotowane były także dla równie licznej gromady włościańskiej młodzieży. Ale te izby nie były jeszcze tak zapełnione, jak górne komnaty, bo wiejskie wyrostki, nie lubiąc murów, wołały przepędzać nocy na czuwaniu po lasach, lub w pobliskich zamku stodołach, aby dopiero w ostatniej chwili nadchodzącego niebezpieczeństwa uciec pędem do obronnej kryjówki. Szlachta przeciwnie nasamprzód zabezpieczała swe dzieci, aby sama swobodnie mogła oddać się ich, kraju, i włościan obronie...

Pani wojska, sędziwa, zacna nad zacnemi niewiasta, była więc mocno zobowiązana do matkowania tej bujnej nadziei kraju, tym młodym a żwawym, choć słabym jeszcze latoroślom, jakie w tej chwili obsiadły stół, i spożywały dar Boży pod jej przewodnictwem. A pani wojska surowo a prosto pojmowała obowiązek. Przeto wysłuchawszy sumiennego opowiadania córki o przyczynie ogólnego śmiechu, uczuła się zacna matrona obowiązana do pomówienia szerzej o tym przedmiocie, aby sprostować i rozjaśnić wyobrażenia dziatwy, i aby wytłómaczyć także po części przed obecnymi ukochaną córkę z jej pozornego dziwactwa. Bo nie wszyscy przecież, a zwłaszcza z pomiędzy młodszych, znali przeszłość, a tu chodziło właśnie o najmłodszych, aby ich płonniemi i grzesznymi prawie nie otumaniać baśniami. Z tych więc powodów, po wysłuchaniu opowiadania córki, przy drugim już daniu, rzekła pani wojska, spojrzawszy na małżonka i porozumiewszy się z nim oczyma:

— Nie zbadane są wyroki Boskie: i jak niema granic miłosierdziu, tak również my ziemskie robaki nie możemy znać dokładnie granic Jego sprawiedliwości... nie mnie mdlej niewieście przy-

stoi o tych rzeczach mówić, ale mówić powinienam, aby słuchacze moi wiedzieli, co o tém trzymam. Więc otóż to myślę, że w podaniu o duchu starego zamczyska musi być grunt prawdziwy, że w istocie kiedyś niewiasta jakaś, rozmiłowana zbytecznie w pieśniach światowych, czasu wojny nudząc się, zamiast praść, lub opatrywać rannych, albo dzieci uczyć, uparła się i wpuścić każała do zamku wędrownych lutnistów, aby rozrywali jej nudy. A ci lutniści byli to tajni a zręczni od wroga wysłańcy, bo wiadano powszechnie o słabości światowej niewiasty do muzyki i na to liczono. Więc wysłańcy lutniści, bawiąc piękną panią, wkradłszy się w ufność jej powoli, podpatrzyli i podrobili jakieś tajemnice czy klucze i w nocy otworzyli wrogom bramę niezdobytą zamku. Stało się zatem nieszczęście z winy światowej pani, a za to głos współbraci uznał ją godną najcięższej, bo aż pośmiertnej pokuty. Mnie się zdaje, że w całej tej historii o duchu zamczyska nigdy nic innego nie było, oprócz tego sądu współczesnych na winną. Uznano niewiastę godną kary i uwierzono, że jest na tę karę skazaną. Nie znam nikogo, ktoby ducha tego widział, jednakże wszyscy się zgadzają, że on jest opiekuńczym i życzliwym dla naszego zamku, co jest bardzo naturalnem, bo tak pokutującemu duchowi czynić wypada sprawiedliwie, jeśli ma zmazać swą winę.

— A jeśli tak jest — wpadł w słowo wojski — to my tylko radzi być możemy z życzliwego sprzymierzeńca i tyle!

(d. c. n.).

DOLINA BEZ WYJŚCIA.

Przygody młodych podróżników w górach Himalaya.

(Dalszy ciąg).

III.

Dolina oddzielona od świata.

Parę godzin przesiedzieli młodziuńcy nasi w swojej kryjówce, aż gdy się łoskot zupełnie uciszył, odważyli się wyjść i spojrzeć dokoła. Masa lodu pod ich stopami trzymała się dobrze, zaczęli więc szukać po wszystkich zakątkach, poza głazami i w zagłębieniach skał, owego piźmowca, który ich tu przyprowadził. Nie wątpili, że jest gdzieś ukryty, bo umknąć nie mógł, szczelina pękniętego lodowca była już teraz nawet i dla niego za szeroka. Wcale nie zapał myśliwski skłaniał ich do tego, lecz głód dotkliwy. Nie myśleli na razie o tém, co się z nimi później stanie, zaspokojenie głodu było w tej chwili najpilniejszą potrzebą.

Gustaw uwijał się najzwawiej, wszędzie zaglądał, wciskał się w każdy zakątek, najpierwszy też

dotarł do miejsca, gdzie wysokie ściany kamienne, piętrzące się po obu stronach lodowca, zdawały się stykać z sobą. Lecz jak tylko tam stanął, okrzyk radości wyrwał się z jego piersi:

— Jesteśmy ocaleni! zawołał młodzieniec — znalazłem przejście, możemy się wydobyć z tej pułapki. Chodźcie, patrzcie, jaki ztąd widok prześliczny!

W rzeczy samej, dwie ogromne skały nie przytykały do siebie, chociaż tak się zdaleka zdawało, przez szczelinę, która je rozdzielała, Gustaw obaczył właśnie tę piękną dolinę, której opis podaliśmy w poprzednim rozdziale. Nie trudno też było dostać się ztąd do niej, bo chociaż poziom doliny znacznie był niższy od powierzchni lodowca, stosy nagromadzonych w tém miejscu kamieni tworzyły stopnie, po których można było wygodnie zejść aż na dół.

Pojmujecie, że młodzi podróżnicy nie namyślali się długo i po chwili byli już wszyscy w tej rozkosznej dolinie, a Neron wyskakiwał wesoło i natychmiast puścił się w pogoń za stadem rogatych zwierząt, pasących się na łące, nad brzegami jeziora. Szczególne to były zwierzęta, z ogólnego kształtu podobne do wołów, ogony miały puszyste, jak u koni, długi włos pokrywał także ich boki, spuszczając się prawie aż do ziemi. Ogólna barwa ich była ciemna, prawie czarna, niektóre jednak odznaczały się białymi ogonami i białym włosem po bokach. Karol poznał w nich odrazu yaki, czyli woły mrujące, zwierzęta bardzo rzadko przytrafiające się w górach himalajskich w stanie dzikim. Yaki oddawna dały się przyswoić; w Tybecie, w Chinach i w innych krajach azjatyckich, hodowane są, jako zwierzęta domowe i używane do pracy, dają też dobre mleko i mięso. One to dostarczają tych wspaniałych ogonów, które u Turków i innych wschodnich narodów zdobią buńczuki władców i wojskowych dowódców; niewłaściwie je nazywają ogonami końskimi.

Neron zaudatno zuchwale rzucił się na stado yaków, o mało życiem nie przypłacił swęj odwagi. Stary samiec z wystawionemi rogami biegł już prosto na niego, gdy celny strzał Gustawa trupem go położył. Jeszcze i wtenczas stado nie chciało ustępować z placu, dopiero gdy Ossaro zabił drugiego, a Karol trzeciego, reszta zaczęła szybko umykać i znikła w gęstwinie leśnej.

— Za dużo zwierzyny upolowaliśmy na raz — rzekł Karol — nie będziemy mogli tego mięsa zabrać z sobą, niepotrzebnie więc zgładziliśmy ze świata niewinne istoty.

— Młody sahib *) jest nadto miłosierny —

*) Po indyjsku nazwa sahib oznacza wysoką godność, coś jakby wielmożny pan po polsku.

ozwał się Ossaro — gdybyśmy byli tych złośliwych zwierząt nie odstraszyli, toby one nas pewnie nie pożałowały. Yaki są nadzwyczaj silne i dzikie, niejednen myśliwiec padł pod kopytami rozjuszonego byka, jeśli go nie trafił odrazu.

Indyanin nazbierał suchych gałęzi, rozpalil ognisko i upiekł wyborną pieczeń, którą młodzi podróżnicy spożyli z wielkim smakiem; napili się potém zimnej, czystej jak kryształ wody, wytryskującej z poblizkiej skały i wypocząwszy puścili się w dalszą drogę. Sądziłi, że znajdą z łatwością przejście pomiędzy skałami, ale się okropnie zawiedli. Szli długo wzdłuż prostopadłej opoki, otaczającej dolinę, zaglądali uważnie w każdą szczelinę, a w końcu o zachodzie słońca doszli do tegoż samego miejsca, gdzie dogasały resztki ogniska.

Dwaj bracia z niepokojem spojrzeli po sobie, potém wzrok pytający zwrócili na Indyanina. Ten milczał uporeczywie, a posępna twarz jego nic dobrego nie wróżyła. Nakoniec na kilkakrotne zapytanie młodzieńców odpowiedział półgłosem, oglądając się z obawą dokoła, że dolina ta musi być mieszkaniem bóstwa, a to zapewne obrażone jest wtargnięciem nieproszonych gości i srogo ich ukarać może, jeśli w porę nie przebłagają nadprzyrodzonej tej istoty. Gustaw, pomimo smutnych okoliczności, rozśmiał się na całe gardło, czém więcej jeszcze przeraził zabobonnego Indyanina.

Noc tymczasem zapadła, nie było więc innęj rady, tylko upatrzyć dogodne miejsce na nocleg i czekać następnego rana, aby na nowo rozpocząć poszukiwania. O wschodzie słońca trzej podróżnicy rozpoczęli znów wędrówkę dokoła pięknej doliny, lecz i tą razą bezskutecznie. Nie tracili jednak nadziei, że z czasem wykryją jakieś przejście, zdawało im się niepodobieństwem, aby ta rozkoszna ustron odcięta była zupełnie od reszty świata. Tymczasem roztropny Ossaro, obawiając się nadewszystko, aby im nie zabrakło zapasów żywności, zabrał się do ususzenia mięsa trzech zabitych yaków. Pokrajał je więc na wąskie paski i zawiesił na kijach ponad ogniskiem. Radził też towarzyszom, aby o ile możności oszczędzali nabojoów.

Mijały dni jedne za drugimi, a w położeniu naszych podróżników nic się nie zmieniało. Zwiędzili całą dolinę, napotykali po drodze różne zwierzęta, które zapewne dostały się tu w tym czasie, gdy jeszcze lodowiec nie był pęknięty, a mając dostatkiem żywności, nie tęskniły za resztą świata. Ptaki tylko unosiły się ponad olbrzymim skalistym wałem, opasującym tę pustelnię i używały swobody, a trzej więźniowie gonili tęsknym wzrokiem za niemi.

Obejrawszy po storazy każdą nierówność, ka-

żdą szczelinę w skale, młodzieńcy stracili w końcu nadzieję wydostania się z tej strasznej matni, przestali już nawet szukać nieistniejącego przejścia. Pewnej nocy przeraziły ich wycia psów dzikich, obawiając się więc napadu drapieżnych zwierząt, urządzili sobie chatkę z gałęzi i nocowali w tém bezpiecznym schronieniu.

IV.

Nowe zamiary.

Trzej towarzysze siedzieli dnia pewnego na kamieniach przed swoją chatką, pogrążeni w smutnym rozmyślaniu. Spoglądali na olbrzymie skały, piętrzące się przed nimi i ogarnęło ich ciężkie przygnębienie. Każdego z nich dręczyła ta sama myśl natrętna: powtarzali sobie, że są na wieczną samotność skazani, że nigdy w życiu nie ujrzą innych ludzkich twarzy, oprócz towarzyszy niedoli. Gustaw pierwszy wyraził słowami tę myśl bolesną.

— Cóż to za los okrutny — rzekł z ciężkiem westchnieniem — będziemy więc musieli żyć i umierać w tém pustkowiu, zdala od ziemi rodzinnej, od wszystkich, których kochamy, zdala od świata iluzji. Jakże zdołamy wytrwać przez długie lata sami, zawsze sami!

— Nie, Gustawie — odrzekł Karol głosem wzruszonym — nie mów, ześmy tu sami: Bóg jest wszędzie, on i tu przebywa, Opatrzność jego czuwa nad każdym stworzeniem.

Biedny Gustaw musiał uznać słuszość słów brata, nie mógł jednak pokonać głębokiego smutku. A i Karol z trudnością panował nad sobą, spokój jego był udręcy, a rezygnacja, którą starał się natchnąć brata, dowodziła właśnie najlepiej, że nie miał już żadnej nadziei. Milczenie trwało przez czas jakiś, następnie ozwał się Ossaro:

— Jeżeli wielki Sahib, który panuje na niebie, zechce, abyśmy ztąd wyszli, wyjdziemy, jeśli nie, musimy tu żyć i umierać.

Wyrazy te, technące fatalizmem wschodnim, nie mogły pocieszyć więźniów. Dwaj bracia westchnęli tylko, nic nie mówiąc. A jednak Karol prędko się ocknął z przygnębienia, był on chrześcijaninem i wiedział, że Bóg dopomaga tym, którzy ręk nie opuszczają w nieszczęściu, ale starają się radzić sobie wszelkimi siłami. Gdy więc Gustaw ukrył twarz w dłoniach, oddając się niemiej i beczynnej trosce, starszy brat ważył w myśli nowe zamiary i układał sposoby ratunku.

Dwaj towarzysze spostrzegli to nakoniec i domyślili się, że ważny jakiś pomysł go zaprzęta, nie chcieli mu jednak przeszkadzać, czekali aż sam się odezwie i wyjawi swoje zamiary. W rzeczy samej Karol przerwał wkrótce milczenie i mówił:

— Przyjaciele, nie upadajmy na duchu, nie rozpaczając nie należy, bo ocalenie może się przybliżyć, gdy najmniej się tego spodziewamy. Wtruając się uważnie w tę skalę, która się piętrzy przed nami, spostrzegłem, że powierzchnia jej, prawie prostopadła, nie jest jednak zupełnie równa. W pewnych odstępach widać tam jakby wyżłobienia; pod każdym takim wyżłobieniem jest kawałek wystająca, coś nakształt gzymsu. Cały ten mur olbrzymi wygląda, jakby był podzielony piętrami. Otóż przyszło mi na myśl, że można tam ustawić kilka długich drabin, jedną nad drugą, opierając je na owych krawędziach wystających. Na nieszczęście na tej skale, którą mam tu wprost przed sobą, ostatni, najwyższy przódział, ma wysokość ogromną, co najmniej sześćdziesiąt lub siedmdziesiąt stóp; takiej drabiny nie potrafimy urządzić, to darmo.

— Ale może gdzieś w inném miejscu łatwiej nam pójdzie — zawołał Gustaw, nową nadzieją ożywiony — trzeba starannie obejrzeć wszędzie skały, nie tracimy czasu...

— Dziś już jest zapóźno — odrzekł Karol za chwilę się ściemni. Idźmy się posilić wieczerną pomódlmy się gorąco, aby Bóg przedsięwzięciu naszemu pobłogosławił i spocnijmy przez noc, a jutro rozpoczniemy nowe poszukiwania.

Słowa te przypomniały Gustawowi, że mu już głód zaczynał dokuczać, poszedł więc chętnie radą starszego brata, Ossaro zabrał się do zarządzania wieczery, a Neron usiadł na progu chatki, czekając swojej kolei. Wieczera wszystki wybornie smakowała, potem dwaj bracia odmówili modlitwę wieczorną, Ossaro po swojemu polcił się bóstwu i sen wkrótce skleił ich powieki.

V.

Odwiedziny niespodziewane.

Trzej młodzieńcy spali już smacznie od kilkunastu godzin, gdy szczekanie Neroną przebudziło ich nagle. Wierny pies spał także w chatce na posłaniu z suchych liści, a był to stróż nadzwyczaj czujny, za najlżejszym szelestem zrywał się, wybiegał, szczekając głośno, i póty nie powracał na swoje miejsce, póki się nie przekonał, że niema żadnego niebezpieczeństwa w pobliżu.

Nie był to jednak wcale pies hałaśliwy lub niespokojny; Neron za dużo świata widział w swoim życiu, za dużo nabył doświadczenia, aby miał dać mo piersi zrywać. Odzywał się tylko wtedy, gdy miał do tego ważne powody, ale w takim razie nie żałował głosu. Gdy więc około północy zaczął szczekać, trzej nasi znajomi przebudzili się odruchem, chociaż spali twardo i smacznie. Pies wybiegł z chatki i popędził na wybrzeże jeziora, głos jego

z tamtąd dochodził groźny, przeraźliwy, powtórzony przez echa okoliczne.

— Co to może znaczyć? — pytał Karol.

— Musiał się czegoś przestraszyć — odrzekł Gustaw, który znał najlepiej naturę psa — Neron nigdy tak gwałtownie nie szczeka na zwyczajną zwierzynę, tylko gdy jest w najwyższej trwodze. Musiał zwietrzyć jakiegoś strasznego nieprzyjaciela. Gdybyśmy nie byli zabili starego byka, przewodnika stada yaków, sądziłbym, że to on.

— Kto wie, może tu są tygrysy w tej dolinie — mówił Karol — nie przyszło mi to na myśl, a przecież rzecz jest możliwa. Mylnie sądzą niektórzy, że tygrys bengalski trzyma się wyłącznie strefy zwrotnikowej, zwierż ten, według świadectwa wiarogodnych podróżników, posuwa się daleko na północ, spotykano go nieraz na wybrzeżach Amuru, na pięćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej.

— O Boże! — krzyknął Gustaw przerażony — coż pocniemy, jeżeli to rzeczywiście tygrys? Nasza chatka nie zamyka się nawet, zginiemy niechybnie...

A wtém usłyszano dziwne, nieznane odgłosy, wtórujące gwałtownemu szczekaniu Neron. Było to coś naksztalt trąby, ale dźwięki te ostre, przeraźliwe, przypominały raczej trzygroszową trąbkę mosiężną, niż odgłosy wojennej surmy, a jednak przerażające wywierały wrażenie. Pies umknął natychmiast, gdy je posłyszał i ukrył się w najdalszym kącie chatki, chociaż nie przestawał szczekać, jak szalony.

Osobliwszy odgłos zbliżał się tymczasem, wkrótce ozwał się prawie przy samej chatce, straszna istota, która go wydawała, musiała także zwęszyć nieprzyjaciela i prosto w tę stronę dążyła. Jeden Ossaro poznał te dźwięki odrazu, bo słyszał je nieraz w swojém życiu, wiedział on dobrze, co to za zwierż się zbliżał, ale był tak zdziwiony i przerażony, że w pierwszej chwili ust otworzyć nie zdołał.

— Czy to podobna? — wyrzekł wreszcie półgłosem — zkąd on się tu mógł wziąć? to rzecz niepojęta!

— Ale coż to jest? mów prędzej! — wołali dwaj bracia.

— Tak, tak, to on, niema wątpliwości! — wołał Indyanin, drżąc cały z przerażenia — teraz już po nas, zginiemy...

Młodzieńcy nie się od niego dopytać nie mogli, przerażenie przytomność mu prawie odbierało, padł na kolana i przyciszonym głosem błagał towarzyszy, aby się nie odzywali. Dwaj młodzieńcy

nie śmieli mu się sprzeciwić, i pomimo całej swęj odwagi, zadrżeli także, bo niebezpieczeństwo nieznane jest zawsze najstraszniejsze.

I znów dziwne dźwięki ozwały się bliżej jeszcze, Karol i Gustaw na palcach przysunęli się do progu; promienie księżyca oświecały łączkę, rozciągającą się przed chatką, ujrzeli tam cień jakiś olbrzymi, jakby czarna chmura stanęła nagle pomiędzy nimi i księżycem. Cień ten poruszał się leniwie, potem stanął na miejscu, a przypatrując się uważnie, młodzieńcy spostrzegli wyraźnie ogromne jakieś cielsko, wspierające się na nogach, podobnych do grubych słupów.

Przerażenie Neron doszło do takiego stopnia, że przestał szczekać i w milczeniu przytulił się u nóg Gustawa, Ossaro ciągle był nieruchomy, a dwaj bracia, nie wiedząc, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo im zagraża, powstrzymywali się także od najłżejszego szelestu. Głucha ta cisza musiała uspokoić tajemniczą istotę, gdyż zatrąbiwszy raz jeszcze donośnie, oddaliła się z wolna i podążyła w stronę rzeczki. Przy świetle księżyca widać było doskonale, jak potwór poruszał się ciężale na olbrzymich nogach, a gdy przechodził przez rzeczkę, dał się słyszeć plusk wody. Gustaw nie mógł już ciekawości swęj dłużęj powstrzymać i chwytając Indyanina za ramię:

— Powiedzże nam nakoniec, co to jest takie go? — zapytał.

— Sahibie — szepnął Ossaro — jeżeli to nie jest bóstwo Brahma we własnej swęj osobie, to chyba stary samotnik

— Samotnik? — powtórzył Gustaw zdumiony. Coż to znaczy?

176.

(D. c. n.).

Saska Szwajcarya.

Górzyste wybrzeża Elby pod Dreznem są tak malownicze, że pozyskały nazwę Saskiej Szwajcaryi. Pełno tam wszędzie ozdobnych willi, gdzie mieszkańcy Drezna i innych miast spędzają letnie miesiące. Szczególnie licznie nawiedzane jest miasteczko kąpielowe Schandau; stanowi ono punkt środkowy, z którego zwykle gromadki turystów wychodzą na wycieczki w głąb Saskiej Szwajcaryi. Jedną z najpiękniejszych miejscowości jest przedstawiona na naszęj rycinie dolina Krippen (Kripenthal) leżąca naprzeciw Schandau.

ROZMAITOŚCI.

Obraz Matejki w Rzymie. Opowiadaliśmy czytelnikom naszym o nowym obrazie mistrza naszego Jana Matejki, przedstawiającym Sobieskiego, po odsieczy wiedeńskiej. Wspaniały ten obraz umieszczony jest teraz w Watykanie, obok arcydzieł dawniejszych malarzy, ofiarował go mistrz Ojcu Ś-mu, który bardzo mile dar ten przyjął. Matejko udał się osobiście w tym celu do Rzymu na czele deputacyi polskiej, a posłuchanie u Papieża opisują dzienniki, jak następuje:

Dnia 16 Grudnia mistrz Matejko udał się z rana do mieszkania kardynała Ledóchowskiego wraz z całą deputacją polską, do której należeli między innymi hrabiowie Tarnowski, Potocki i Czartoryski, a także i dwóch włościan. Czekali tam już na nich wszyscy malarze i rzeźbiarze polscy, mieszkający w Rzymie, Henryk Siemiradzki, Pius Weloński i inni. O godzinie 11-jej kardynał poprowadził wszystkich do sali, w której ustawiony był tron papieżki, czekały tam panie, umyślnie na tę uroczystość przybyłe.

Deputacya ustawiła się szeregiem po lewej stronie tronu, a o godzinie 12-jej wszedł do sali cały dwór papieżki, kilku kardynałów, a w końcu Ojciec Ś-ty. Wszyscy obecni ukłękli, a kardynał Ledóchowski przemówił do Ojca Ś-go po łacinie, tłumacząc, w jakim celu deputacya przybyła. Następnie przemówił profesor Tarnowski, także po łacinie, a Papież słuchał z wielką uwagą i dawał pokilkakrotnie znaki zadowolenia. Na żądanie Ojca Ś-go profesor oddał mu do rąk rękopis swojej mowy, przykleknąwszy u stóp tronu.

Podniósł się potem Papież z tronu swego, przemawiał bardzo łaskawie do deputacyi. Mistrza Matejkę przywołał do siebie, i rzekł do niego z uśmiechem po włosku: „Pragnąłeś, aby obraz twój był w Watykanie i otóż będzie w Watykanie“. Udzielił mu błogosławieństwa dla niego, dla rodziny i dla uczniów szkoły malarskiej w Krakowie, i wręczył order, krzyż komandorski Piusa z gwiazdą brylantową.

Kazał sobie Ojciec Ś-ty ustawić krzesło na środku sali, naprzeciw obrazu, a podczas gdy ktoś z orszaku jego odczytywał mu opis obrazu, drukowany w jednej z gazet włoskich, on przywołał znów do siebie mistrza, wziął go za rękę i rozpytywał o różne szczegóły obrazu. Tłumaczem przytém był kardynał Ledóchowski. Papież po kilka razy wstawał i przyglądał się z bliska obrazowi. Posłuchanie trwało blisko dwie godziny.

Tak więc mistrzowi naszemu winniśmy jeszcze i ten zaszczyt, że utwór sztuki polskiej przeznaczony będzie w zbiorze watykańskim, obok tysięcy arcydzieł dawniejszych i nowszych.

NIEUCZCIWY SZAFARZ.

Łamigłówka.

Pan starosta kazał przygotować 32 beczki wybornego węgryna na imieniny swojej jeń naczki i ustawić je w małej podręcznej piwnicy w bocznych framugach, w taki sposób, że na każdej ścianie jest dziewięć beczek.

1	7	1
7		7
1	7	1

Nie ufając szafarzowi posyła codziennie małego, wiernego pacholika, aby beczki liczył, a ponieważ chłopak tylko do dziesięciu rachować umie, więc każe mu obliczać, czy jest dziewięć beczek z każdej strony. W kilka dni przychodzi żydarendarz i w tajemnicy donosi staroście, że szafarz sprzedał cztery beczki w miasteczku. Pacholik przysięga się, że jest po dziewięć beczek z każdej strony, a starosta wierzy chłopakowi. W tydzień znowu żydek donosi, że szafarz drogę cztery beczki sprzedał. I znów pacholik oblicza beczki w piwnicy, a zawsze jest po dziewięć. Trzeci raz powtarza się toż samo, żyd przysięga się, że poznał kradzione beczki, a chłopak że są nietknięte w piwnicy. Nadechodzi dzień imienin i okazuje się brak dwunastu beczulek, chłopiec jednakże nie kłamał. Jakim sposobem szafarz wynosił beczki po trzy razy tak, że zawsze było dziewięć z każdej strony?

Łamigłówka geograficzna.

(Zosi ze Stejka).

```

. . a . .
. a . a .
a . a . a
. a . a a
. . a . .

```

Zapełnić kropki literami, tak, aby utworzyć pięć wyrazów następujących: 1. Jezioro w Afryce południowej. 2. Osada europejska w Chinach. 3. Miasto handlowe na wybrzeżu morza Czarnego należące do Rosyi. 5. Miasto powiatowe w tej gubernii.